

Rewolucja w różowych trampkach

*

Piszę, bo lubię, bo wydaje mi się, że umiem, bo życie zdaje się ciekawe. Nie mam jakiś wyższych celów związanych z tym tekstem. Mam siedemnaście lat, więc pewnie z nieukrywaną powagą, dużym poziomem samozadowolenia i niezaprzeczalnym przekonaniu o własnej nieomyślności popełnię wszystkie błędy młodocianej prozy, a mianowicie egzaltacja, tandeta, trywializm, ubóstwo warsztatowe, brak przesłania, tendencyjność i Bóg wie, co jeszcze. Ja nie aspiruję do pisania artystycznego. Moje pisanie to terapia, bo dojrzewanie to syf, który ciężko znieść samemu, a jeszcze gorzej zanudzać innych. Jednakże chodzi przede wszystkim o to, by to rozchwianie wypluć z siebie, a papier idealnie się nadaje.

*

rJesteśmy bandą nastolatków wykrzykujących zgwałć mnie .

Zdanie wykrzyknięte w przestrzeń, gdy tańczyliśmy kiedyś na czyjś urodzinach. Nazywane to było tańcem, choć przecież skakaliśmy, objaliśmy się o siebie, rozpuszczone włosy fruwały płacząc i splatając. Nie było tu nawet cienia romantyzmu, który rzucił wiatr targając kwiaty we włosach. Grube czarne podeszwy z impetem uderzały o podłogę. Niesubtelnie, niedelikatnie. Z głośników wydobywał się zachrypnięty głos Kurta, rozdzierające, chrapliwe Rape me. Byliśmy jednością. W tych prymitywnych, atawistycznych ruchach, w oparach potu wymieszanego z wielokrotnością wód toaletowych, ciało przy ciele, skóra obok skóry, oczy patrzące w jednym kierunku, uszy otwarte na jeden tylko dźwięk byliśmy jednością Złączyliśmy się w zrozumieniu. Zrozumienie, Odczuwaliśmy to wszyscy, moc słowa opłótła nas niczym noc spowijająca mrokiem miejskie budynki . Przez chwilę spełniło się marzenie każdego człowieka, trwaliśmy razem, złączeni wewnętrznie, doszliśmy do absolutu. Absolut, w którym świat nie mógł przebić kurtyny riffów gitarowych. Był wtedy tak słaby, mizerny, karłowaty. Próbował dzwonić wyciszonym telefonem, ratował się mijającym czasem, który jako jedyny mógł nas wyrwać z absolutu. Ale świat przegrywał, wycofywał się, spuszczał ze smyczy. Odchodził przygarbiony starzec o pomarszczonej twarzy. Wszystko w nim było stare oprócz błyszczących oczu, nieskazitelnej tęczęwki i siatkówki Baliśmy się tych oczu. Dlatego próbowaliśmy zatrzymać czas.

*

Znów nic nie miało sensu. To przychodziło jak wytrzeźwienie po długiej libacji pięknego życia uśmiechów, zadowolenia. Albo na odwrót, to było jak picie, prymitywne chłanie taniego wina pod mostem, zanurzanie się w zwątpieniu, zniechęceniu. Wszystko było pustką, ktoś powiedział, że życie to dochodzenie różnymi do niczego. Nie mylił się. Człowiek tak naprawdę jest sam, wszelkie związki, przyjaźnie, wszystko, co tworzy, by zabić, oddalić wypełnić pustkę stanowi tylko jej nową, inną formę. Zawsze jest, na co czekać, gdzie uciekać, ale przeważnie nie ma dokąd wracać.

Wyjść z domu, spędzić noc u kogoś, wiele osób skupionych na małej powierzchni, wymuszona bliskość. Zatopienie w ciemności, zmysły przytępione mrokiem, późną godziną, brakiem snu, zmęczony umysł. Potrzeba drugiej osoby, złączenie się z przyjacielem obok, fizyczny brak dystansu. Zapach drugiego człowieka, jego ręka obejmująca ciało, głowa ukryta we włosach. Dobicie do przystani, przycumowanie, można zasnąć, jest bezpiecznie, ciepło, niepojedynczo, krótka chwila szczęścia. Nadszedł świt, promienie rozdzieliły wtulonych w siebie ludzi. Znów byliśmy pojedynczymi łódkami wypuszczonymi na pełne morze. Opuszczenie cudzego mieszkania, ostra nieskazitelność nieba, zimne powietrze powoli

wypełniające każdy zakamarek ciała. Po chwili kąpiel, krótki sen we własnym łóżku, czystym i wygodniejszym niż podłoga, ale to nie to samo.

Należało żyć. Suchy żołnierski rozkaz rzyj. Mundur silnego człowieka stanowił codzienne, zewnętrzne odzienie. Jednakże brak snu dawał o sobie znać. Ręka drżała, ciało stało się miękkie, krok coraz trudniejszy, nieznane zimno przepłynęło od płuc aż do żołądka. Powód - bliska daleka osoba spotkana przypadkiem. Tempo chodu spadło, właściwie było to tylko mocno wymuszone przesuwanie stóp w wyznaczonym kierunku. Słysząc tupot butów jakiegoś przechodnia, szybki, głowa odwraca się do tyłu. Rozczarowanie - obcy człowiek. Najgłępszą nadzieją samotnej istoty jest upatrywanie w krokach nadchodzącej osoby kogoś znajomego.

*

Dwoje ludzi - mężczyzna i kobieta, stało na dachu wieżowca. Słońce wschodziło, była jakaś 4.30

Kobieta - Zanim cokolwiek powiesz, zanim cokolwiek się stanie pozwól, że ja zacznę. Przyprowadziłeś mnie tutaj w jakimś konkretnym celu, na pewno nie po to, abyśmy wypili poranną kawę, albo wypalili papierosa obserwując wschód Słońca nad Wisłą. Chociaż pewnie byłbyś do tego zdolny. Przyprowadziłeś mnie tutaj, bo ostatnio stało się coś pomiędzy nami, jesteśmy przyjaciółmi, tak to nazywamy. Inni widzą to, co jest naprawdę, tylko my udajemy głupich i ślepych. Tak jest zawsze.

Jest tu oszałamiająco pięknie, na pewno to miejsce, z którego czerpiesz siłę i spokój, do którego przychodzisz w samotności, by się pocieszyć, ukoić. Tu prowadzisz burzliwe dyskusje egzystencjalne swoich ego. Etc. Teraz postanowiłeś podzielić się swoją samotnią ze mną, odkryć sekret przetrwania. Zrobiłeś błąd, ale jeszcze nie jest za późno i o wszystkim da się zapomnieć. Chociaż wpadliśmy w koło historii i niewiele od nas zależy.

Podejźmy do krawędzi, wypowiemy kilka cennych metafizycznych sentencji. Nie, nie będą cenne, będą zwykłe i tendencyjne, będą takie, jakie zawsze wypowiada się w chwilach wściekle trzeźwego poranka, gdy czuje się powiew zimnego powietrza i patrzy się z góry na miasto. Opowiemy o tragicznej samotności wobec świata, o małości człowieka, pojedynczości, bezsensie, bezdomności i o innych małych dekadencjach naszego pokolenia.. Wtedy, jęcząc jak bardzo jesteśmy sami, narodzi się w naszej duszy uczucie, które wyrażone zostanie splecionymi dłońmi na zimnej barierce lub złączeniem ciał pod głupim pretekstem porannego chłodu. Zapatrzona w krajobraz miejski poczuje, że Ty nie kontemplujesz już dymu z farmaceutycznej fabryki, ale patrzysz się na mnie tak, jak wcale nie przyjaciel I ja spojrzę na Ciebie, będziemy czytać się gwałtownie i namiętne, a później wypowiemy głupie słowa, że chcemy być ze sobą. Poczujemy euforię, staniemy wespół na krawędzi gotowi walczyć z całym światem, bo mamy siebie. Zbiegniemy po schodach jak dzieci trzymając się za ręce. Z zamkniętymi ustami zaśpiewamy piosenkę, którą, choć milcząca, wszyscy usłyszą. To przecież widać, zresztą trudno nie nauczyć się schematu: błyszczące oczy, promienna cera, brak koncentracji, radość, uśmiech. Przecież wiesz, tego oczekujesz. A później wszystko zacznie gnąć, wraz z mijającym czasem będziemy mieli dla siebie coraz mniej słów, chęci, coraz mniej siebie. I będziemy tu przychodzić, pojedynczo wspominać tę chwilę, żałować, smucić. Rozstaniemy się. Przyjdiesz ukoić ból właśnie w to miejsce, ale nie znajdziesz spokoju, bo powrócą wspomnienia. I długo będziesz musiał na nowo uczyć się nieba, by nie bolało. Wiele kawy wypijesz i wiele papierosów wypalisz, abys znów mógł przychodzić tu po ciszę. Dlatego proszę nic nie mów, daj mi już tego papierosa i wypalmy go w spokoju. Oddzielnie.

*

Kobieta - A jednak mnie nie posłuchałeś, podałeś papierosa, a później zacząłeś mówić. Pomimo wszystko, pomimo logiki, pomimo dowodów wprost i niewprost. A ja przecież jestem tylko człowiekiem,

co miałam zrobić, wczesnym rankiem trudno o cynizm, co innego noc, ale błądy świt to cholernie trzeźwa pora, nawet ironia nie działa. Teraz leżymy obok siebie w jakimś robotniczym hotelu. Leżymy na starym, komunistycznym tapczanie. Twoja ręka szlaja się w okolicach mojej talii, ukryłeś głowę w moich włosach. Przed czym się chowasz, czego się boisz ? Pierwsze promyki słoneczne przebijają zszarzałą firankę, odbijają się od tapety. Ona też jest brzydka, ale nie żyjemy w amerykańskim filmie o dwojgu zakochanych na wiečność. Spójrz na te stół, smutne dwa krzesła, szafę śmierdzącą terpentyną, Spójrz na nasze bagaże żałośnie zakopane w kącie, spójrz na tę nieporadną butelkę wina pitego dzisiejszej nocy ze szklanek, bo kieliszków nie było. Spójrz na siebie, w swoje zapadnięte oczy i na mnie popatrz. Z potarganymi snem włosami stoję na balkonie Twoim tiszercie i palę pierwszego papierosa. Wiem, że chwilowo uciekamy przed światem, ale nie będziemy przez całe życie nocować w tanich hotelach, unosić się nocami, bazgrać na wietrze wielkie zaklęcia ludzkości, nie możemy spędzać wieczorów w kinach, które powinny być zamknięte, ale na przekór działają i pokazują stare filmy takim szaleńcom jak my. Skończ już z mentalnością gościa motelowego, powiedz ile jeszcze chcesz tańczyć na zasnutych mgłą dworcach, ile chcesz patrzeć, drzeć, kochać, mówić, mówić, mówić, szeptać, śpiewać, krzyżeć, mrużyć, wyrzucać z siebie potoki słów, które w końcu zamieniają się w bełkot, a słysząc te bzdury rzucać się wymęczony na łóżko, zamykając drzwi, zasuważąc kotary, kłaść się spać nie musząc dyskutować z Księżycem o pustce, bo ja leżę obok. Zrozum tak nie można. Nie możemy mieszać kawy z koniakiem, nie możemy w oparach papierosowego dymu w ciemnych spelunkach przy balladach o złamanych życiach śpiewanych zachrypniętym głosem degeneratów, rozprawić o wieczności, skoro nie jesteśmy pewni terażniejszości. Beznadziejna sprawa. Zrozum to wreszcie. Wspólnego życia nie można zbudować na obłąkańczych poszukiwaniach wizji, rozumiesz? Nie możemy gnać na każdą ścianę, by przeżyć katharsis, duszy nie można chcieć mieć ciągle rozświetlonej. Nie możemy tak upiornie szczęśliwi, natchnieni, rozbudzeni przeżywać nocy i budzić się, milczeć w tym nieznośnym chłodnym otępieniu, a potem padać na kolana i modłać się domagać dowodów życia. To nie jest amerykański film, żadne kino drogi. Mógłbyś wreszcie wybić sobie z głowy te idealistyczne bajki o szerokiej autostradzie wijącej się pośród czerwonych skał pod niebieskim niebem, Przecież my się prawie nie znamy, nie wiemy o swoich natręctwach, przywarach, drobnostkach, zwyczajach, postanowieniach, upodobaniach. Myślisz, że MY to jedynie wspólne picie kawy, alkoholu, palenie papierosów, słuchanie muzyki i egzystencjonalne dyskusje? A co z normalnym życiem? Co ze skarpetkami, klapą od sedesu, tubką pasty do zębów, praniem ręczników, gotowaniem fasoli i zmywaniem talerzy ?

Na razie uciekamy, nadal przed światem. Chowamy podpuchnięte oczy za czarnymi okularami, ja w trampkach i spódnicy, Ty w podartych dżinsach kontestujemy zastany porządek. Drwimy z rodzinnych samochodów, kart stałego klienta, wielopaków, szydzimy z wszelakiej zbiorowości i ładu. Starym samochodem wciąż chcemy jeździć godzinami, by przeżywać widma, oszałamiać się wschodami i zachodami, muskać rosę na liściach. I gotowi jesteśmy zaćpać się tą wolnością, lawirujemy pomiędzy strzałami łuczników rzeczywistości i możemy skakać, płonać, padać, jęczeć, pruć przeszłość, tańczyć, śpiewać i tłuc lustra. Wiesz, lubię siedzieć z Tobą wczesną nocą na parapecie patrzeć na smutne piękno nieba i Księżycy.

To piękne, ale budzimy się w nucie fundamentalnej dekadencji. Nie możemy wiecznie bronić się przed światem . Rano chcemy uciekać od siebie. W milczeniu parzę kawę w szklance brudnej od wina. Filiżanek również brak. Wyrzucam zgniętą butelkę. Nie traktuj tego symbolicznie. Prosta czynność - sprzątanie. Dziwisz się, bo przecież nie robimy razem prostych rzeczy. Jak miło byłoby tak po prostu wstać i się rozstać, nie mając żadnych wspomnień i skojarzeń. Życie nie jest egzaltowanym, krótkotrwałym zrywem ogólnooorganowym, żyć trzeba ciągle. Opętanie, wrzask, obłęd, szaleństwo, wizja, trans, bezsenność, euforia to nie ma prawa nas zachwycać, Napij się herbaty i proszę nie pal więcej. Ja ubieram się normalnie, Ty też nie zakładaj dziurawych spodni. Nie będziemy protestować. Dziś. Zawieź mnie do domu, tylko spokojnie, bez łapania powietrza dłońmi, rozdmuchiwanie włosów wiatrem.

Odnaleźliśmy sens chwili, ale sens życia nie chciał się zacząć, więc i my uciekając od siebie coraz dalej w miarę, gdy Słońce coraz wyżej, zechcemy się skończyć.

*

Ludzie mi zbrzydli. Ciągłe coś mówią, twierdzą, myślą, tworzą. I wpajają, gładzą, narzekają, błędzą, myślą, upadają, łamią i podnosić ich trzeba, i naprawiać. Zachwyt, poryw, jęk, jęknięcie, trzaśnięcie, stuknięcie, pierdnięcie, a później, że śmierdzi, że było, że nie ma, że boli, że nie mogą. Ja też nie mogę, a później wszyscy nie możemy i siedzimy i nic, więc muszę móc i znowu pogłaskać, pocieszyć, utulić, przytulić, przymilić, zrozumieć, zawalczyć o siebie, o ciebie, o tego, co puka. O matko, o Boże i nikt nie może.

Dzwonek, otwieram drzwi, a Ty stoisz zapłakana. Nic nie mów, wiem, rozstaliście się po raz trzeci w tym miesiącu, choć jest dopiero 15. Wcale się nie śmieję, zostań, opowiedz. Przecież traktuję Cię poważnie. Właż szybko, no znów zniszczysz sąsiadce kwiaty pod balkonem. O czym mówię? Nie pamiętasz, jak popełniałaś samobójstwo skacząc z parteru? Masz, chusteczka, zaraz zrobię kawę. Kochanie nie wysilaj się, smarkaj w spokoju, ja opowiem, co się stało, a Ty mi tylko przytakniesz. Czujesz się oszukana, zdradzona, wykorzystana, skrzywdził Cię, byłaś przelotną miłością, zabawą, a przecież na początku było tak pięknie. Troszczył się o ciebie, był zupełnie inny, ale teraz go poznałaś i wiesz, jaki jest naprawdę, bo przez całe wasze burzliwe pożycie kłamał. Kłamał jak stara świnia. Kretyn. Wszyscy faceci są tacy sami. No kochaniutka nie kichaj mi tu z aprobatą, bo to komunały są. Nie łkaj, to nieprawda. Jak jeszcze raz westchniesz to dostaniesz odkurzacz i mieszkanie wysprzątasz, bo energię to trzeba pożytkować. Tak, wiem, faceci to świnie, na dodatek wszystkie takie same, bo z jednego koryta, ale kobiety też są takie same, tyle, że nie świnie. Kochaniutka jęczysz i biadolisz po raz niewiedomo który, jak zrozpaczona¹⁴ z mózgotrzepa za 2,50zł. On mnie nie kocha i Jak ja go Kocham to się w naszym wieku przeżywa jakieś 5 razy do roku i proszę nie nazywaj tego miłością, bo pojęcia profanujesz. To jest schemat, banał, trywializm, norma, tendencyjność, powtarzalność, komunał. Przejdzie Ci. Ogarnij się już i zacznij szanować, bo dać się przeprosić przeterminowaną bombonierką z Biedronki to chyba dyshonor. Poboli kilka dni, po czym odkryjesz (jakbym Ci tego nie mówiła), że bez niego da się żyć i że inni ludzie są na świecie (a swoją drogą to ciekawe, gdzie się dotychczas te 6 mld chowało, no co za niespodzianka). A teraz kochanie umyj ten rozmazany tusz i idź się na mnie obrazić. Chociaż poczekaj chwilę, pojutrze mnie nie ma, więc o tym jak się pogodziliście opowiesz mi po weekendzie.

*

Zimno, zimno . Ty kiwasz potakująco głową. Jest jakieś prawie szare popołudnie, leżę skulona w pozycji embrionalnej na łóżku, a moja kobiecość zwinęła się gdzieś w przeciwnym kącie pokoju. Kawy mi się chce, potrzebuje jej zapachu, potrzebuję objąć gorący kubek dłońmi. Niestety, gdy mama jest w domu muszę się ograniczyć do jednej, inaczej odkryłaby moje uzależnienie. Ilu rzeczy ona o mnie nie wie.

Cóż niektórzy ludzie mają ciekawie w życiu, bo pasjonują się czymś, np. muzyką, fotografią, malarstwem, informatyką, fizyką etc. Przychodzą do domu, zamykają za sobą drzwi i poświęcają się swojemu hobby. Też bym tak chciała, niestety moja jedyną pasją jest życie, żyję namiętnie i gwałtownie zachłystuję się nawet marazmem, nudą, chamstwem, samotnością. To dopiero skrajne zboczenie. Ponadto lubię pisać, właściwie ciągle to robię, albo piszę, albo właśnie myślę, o tym, co stworzyć, To obrzydliwa bezproduktywność i niepraktyczność. Lekarz leczy, nauczyciel uczy, inżynier buduje etc. A nam humanistom w głowie tylko człowiek i wnętrze, i uczucie, i pisanie i życie i dusza i , Boże nie mogę. Ciągłe mnie coś musi przewiercać, wzruszać, uwrażliwiać, obchodzić, zachwycać, złościć. Ciągłe się muszę człowiekiem dziwić, zawodzić, cieszyć, bo inaczej to mi życie brzydnie. Od czasu do czasu trzeba przeżyć katharsis znajdować nowe drogi, systemy, szukać natchnienia, ukojenia, samotności,

towarzystwa - wszystkiego naraz i niczego. I gardzę tysiącami bakterii, setkami tablic matematycznych, wzorami fizycznymi, formułkami, definicjami. Ja to wszystko lekceważę i mnie to nudzi, nuży i męczy i nie interesuje. Choć każą mi czerpać radość z dobrego wyniku czy też rozwiązania tajemnicy istnienia w konflikcie serologicznym to przecież wszystko już było i wszystko już odkryto, i wszystko napisano, i szlak wyznaczono. A gdy myślę i piszę, choć nic nie wiem i nic nie rozumiem wiem, że jest to nowe i jeszcze nikt nie wiedział tak samo jak ja.

*

Dziś nie chce mi się zbawiać świata. Otwieram okno i siedzę na parapecie, wpatruję się w smutne piękno.

*

Zabierz mnie stąd. Proszę. Przyjdź i nie dając ani chwili rozkaż iść ze sobą. Niech nie zdążę nic zrobić. Pojedźmy gdzieś. Tak, proszę zrobmy to teraz, nie czekajmy do wakacji. Niech to będzie ucieczka, pozwól mi delektować się smakiem nieposłuszeństwa. Jedźmy natychmiast. Jest północ, zaczyna się sobota, za oknem pada deszcz, uciekajmy. Niech Pani Rzeczywistość z Obowiązkami skrywającymi się za jej plecami pogrozi nam palcami pomalowanymi w Konsekwencje. Wyjdźmy stąd póki jeszcze nie ujdzie to bezkarnie. Otwórz okno proszę i szyberdach. To co że pada ? O to przecież chodzi i dajmy porządnym rodzinom powód do nazywania nas szaleńcami. Chociaż tej godzinie nikogo to nie zgorszy, o północy po drogach jeżdżą jedynie wariaci. A właściwie to ludzie zagubieni i pogrążeni w chaosie. Nieszczęśliwi. Dlatego to wszystko, muzyka, szybkość, okno, i otworzyć, i głośniej, bo ból można tylko zająć czymś na chwilę. Nie mówmy nic, słów tu nie trzeba, gonimy wizyjne anioły na wielkiej autostradzie myśli. Chcę tańczyć, tańczyć na łące w strugach mżawki, w trawie do pasa. Jestem już cała mokra, trzęsę się z zimna. To nic. Słyszysz jak dudni melodia absolutu ? Ja słyszę, czas nas pominął. Trwamy w absolicie i nic nie jest potrzebne. Już dobrze, już wracam, nie martw się o mnie, nie przezięb się, a jeśli nawet to miło jest zakatarzyć się podczas polowania na chimery. Wciąż trzymasz ciemnobutelkowy koc na tylnym siedzeniu. Nie oszukuj, to nie przypadek. Uwielbiam go, wełna gryzie w szyję, trochę gorąco, ale to nic, pachnie Tobą i samochodem. Zasypiam . . .

Przestań! Nie przytulaj mnie, nie trzymaj za rękę, nie będziemy siedzieć jak zakochani pod kocem, wpatrując się w gwiazdy w Twoim samochodzie na środku posrebrzanej łąki. To zbyt romantyczne jak na absolut. Zresztą przecież nie szukam szczęścia tylko wolności, dlatego uciekam. A teraz będę spać, a Ty jedź jak zawsze na południe. Nie bój się o moje sny, nie trzeba ich prostować, one potoczą się powoli i spłyną niezauważalnie i bezboleśnie. Przecież chwilowo jest bezpiecznie. Wraz ze wschodem napijemy się porannej kawy na słowackiej stacji benzynowej. Będzie jakaś 4 rano. Lubię Słowację. Stanę tuż przy idealnie równej drodze i spojrzę na góry, domy z drewna, niebo, Słońce, kawę i na nas, których nic nie łączy poza wspólnymi eskapadami przeciwko wszystkiemu. Jesteśmy nienormalni, wiesz o tym ? Tylko nam się wydaje, że myśli samobójcze ma każdy nastolatek. Przecież ja obracam się w gronie samych frustratów, niedoszłych, albo przyszłych samobójców. Chociaż znam kogoś wiecznie szczęśliwego, ale to jest podejrzenie nienormalne. Ty też nie jesteś lepszy, powiedz, co my teraz zrobimy z naszym szaleństwem? Wiesz ja mam marzenia, chcę spędzić życie na wojnie jako korespondent . Czasem wracać do osobistych 30m2 na krakowskim poddaszu gdzieś w centrum. Wstawać w południe, pić kawę i czytać poranną gazetę. A wieczorem w jakimś jazzowym klubie pić wino z przyjaciółmi. To żalotne. I pić, i palić, i spać, i żyć szybko, i znów powracać na front. Jestem stracona. Wolę umrzeć młodo, bo jako stara kobieta nie pojedę na wojnę, a samotna starość sprzyja refleksjom nad zmarnowanym życiem, z żalu mogłabym zostać alkoholiczką, a odejść chcę na trzeźwo. Absurd. Zresztą jak ja wyglądam, wytarte, podarte dzinsy, koszula niedbale zarzucona na jakąś bluzkę na ramiączkach, włosy krzywo związane i

upięte, byleby nie przeszkadzały i dopełniają wszystkiego ciemne okulary. Owszem pewien rodzaj buntu, a nas dwoje to już mała rebelia. Złośliwe łaskotanie świata, który w akcie zemsty nas stracił. Cholernie zabawne, prawda? Nieutopijna wizja nieudanej egzystencji, komizm we wszystkich trzech postaciach. Widzisz, ja uciekam, bo nie umiem wybrać drogi, bo szukam nauczyciela i mistrza, który pokaże mi wszystko bez chaosu, ale jak na razie drwię ze swojego życia. Zdarza się, Vonnegut tak pisał w Rzeźni nr 5, gdy ślaniały się trupy. Prawdziwy cynik. Czasami myślę, że Ty i ja „, ale to by była chwila, a mnie pasjonuje wieczność, jej tak wściekle poszukuję, bo tam muszą być klucze do tajemnicy bytu. Nie chcąc niszczyć nic nie możemy niczego tworzyć, więc pamiętaj, że najlepsze są słowa niewypowiedziane, a czyny cofnięte przed wykonaniem.

Proszę zabierz mnie stąd, już 1. Nie boję się zasypiać, boję się jedynie budzić.

*

O kurwa - to dobre słowo na początek dekadentckiego dnia, więc teraz zgodnie z zasadami dowlekam się do kuchni i zamierzam wypić kawę. Tak. Kofeina we krwi sprawia, że można wyjrzeć za okno. Jestem uzależniona, to pewnie głupia sprawa nie móc przeżyć normalnie dnia bez kilku dawek kofeiny, ale co tam. Ten zapach w kuchni i poranna gazeta rozgrzeszają. I mija czas, by mogły nadejść godziny soku pomarańczowego. W sumie to niewiadomo, co z nimi zrobić, bo jest cokolwiek gorąco i żółto, i niebiesko, i trochę zielono. Przeczekać można jak wszystko. Pora wydrażonych grejpfrutów czyli popołudnie. W tonie zupełnej dekadencji czytam Jerofiejewa albo wiersze o wódce i papierosach Świetlickiego. Czy to nie brzmi hymnicznie - Nie ma świata skończył się, nie ma czasu skończył się A potem wgapiam się w telewizor, wcale nie bezmyślnie, jakiś serial kryminalny dopełnia jedynie całkowitego zajęcia mojej uwagi. Lubię kiedy jest głośno, lubię słuchać potoków słów, to w pewnym sensie uwalnia od myślenia o rzeczach złych, a jak panuje zmęczenie to od każdych. Jednakże myśli nigdy nie wyzwalam, wirują permanentnie. Być może wyłuskam natchnienie, albo coś warte zmaterializowania, sentencję, którą wstyd zapomnieć et cetera. Moje słodkie et cetera, tytuł wiersza amerykańskiego poety. Moje słodkie i tak dalej, nienapisane, nawet nie do końca pomyślane, niejasne skojarzenie z podmiotem, wolne pływające z przestrzeni bezkresu wciąż do wymyślenia, złożenia w słowa, zdania, teksty, etc , -dłoń wyciągnięta w stronę czytelnika.

Serial się skończył, był banalny i nudny w swojej tragedii, jak życie. Empatia telewizyjna mnie nie dotyczy, to tylko syndrom starszych ludzi, którzy żyją fikcją i dla fikcji. Tak jak moja babcia.

Czas na kawę, tym razem pół filiżanki mocnego espresso, ewentualnie łyżeczka cukru. Obejmuję dłońmi gorące naczynie, a w mieszkaniu rozlega się rLa Foule Edith Piaf, jest czas spieczonego kruchego ciasta szarlotkowego. Promienie słoneczne już ciepłe w podwójnym znaczeniu, a nie wściekle jak dotychczas, delikatnie obrysowują niewidzialne kształty na ścianach, meblach. Tańczę w wąskim, długim korytarzu, tańczę walca, albo przynajmniej wydaje mi się, że to walc, Zaraz przypominam sobie film rLato miłości i jeszcze dwa inne, niezapominalne i mistyczne - rSłoń oraz rEdukatorzy.

Piszę chaotycznie, podobnie jak chaotyczne są moje myśli, które luźnymi skojarzeniami prześlizgują się od walca z kawą przy Edith Piaf po filmy o zabijaniu, buncie, dojrzewaniu. Nie nadążam, to tak jakby każdy ze zmysłów zajął się czymś innym, a mózg myśli o swoim, na dodatek doznania sensualne uruchamiają całą serię wspomnień, stopklatek, słów, zapachów. Etc .

*

Więc po to był ten syf dojrzewania, próżne starania o piękno każdej chwili, nowe zapawy wraz z porankiem by wreszcie zacząć od początku. Po to były te wszystkie próby wykorzystywania czasu do maksimum, wyciskania, by nie ciągnął się jak roztopiony camembert na obrazach Dalego. Po to

wylewane łzy, gdy źle się działo, setki zapisanych słów w skrzątnie ukrywanych pamiętnikach, beznadziejny patos błagalnej modlitwy o odmianę, zaklinanie przyszłości, przeklinanie i wściekłe miotanie się przeciwko losowi i twierdzenie, że wieczność tego nie uwzględnia. Po to było to wszystko, by zrozumieć, że żyje się od chwili do chwili, a wszystko opiera się trwaniu. Przecież można przeczekać zawsze, neutralizując dyskomfort pracą, pasją, przyjaciółmi. Przetrwać można samotność, smutek, stratę, można spróbować uciec na trochę.

Teraz stoję oknie nowojorskiego hotelu. Patrzą na miasto, które nie śpi, taksówki jeżdżą, ludzie w domach żyją, a inni akurat trwają, jak ja. W ręce trzymam whisky z lodem, nie lubię whisky, podobnie jak mocnego espresso, poza chwilami marginalnej senności. A whisky lubię w chwilach marginalnego oczekiwania. Pijani ludzie chodzą wpółobjęci i śmieją się za głośno, uwielbiam tę nowojorską obcość. Jednoczy nas. Paradoksalne. Właśnie na samotności i alienacji próbujemy budować relacje. Ale teraz pośrodku letniej nowojorskiej nocy stoję przy oknie i piję i głównie na tym jestem skupiona, a jutro obudzę się z bólem głowy i kaca po znienawidzonej whisky zapiję znienawidzonym espresso. Odwracam się, pokój jest metaliczny, bezpłciowy. Stawiam szklankę na szklanym stole, którego blat wykonano z kryształów. Włączam telewizor, nieważne co, mruczająca angielszczyzna tuli mnie do snu na zwyczajnym łóżku w pachnącej proszkiem pościeli. Nic tu nie sprawia wrażeń jakiegokolwiek emocjonalności. Utrzymane w bezosobowych kolorach pomieszczenie pozwala na spokojny sen o tematyce niedzielnej gazety. Zasypiam,

*

Jestem kawoholiczką, która po całodniowym faszcerowaniu się kofeiną, może wreszcie żyć, a na dodatek być z tego zadowolona.

*

rPiękno jest zdradzonym światem pisał Kundera. Te wszystkie kryształowe pojęcia ukrywają się po drugiej stronie. Trzeba tylko rozerwać tekturowe dekoracje na scenie, wprowadzić własne kwestie do scenariusza. Wyrwać się ze zwartych szeregów, dotrzeć do miejsc nieprześladowanych duchem ludzkości. Trzeba zdobyć się na indywidualizm, pogodzić, że po wolności następuje tylko samotność. Trzeba złamać zakaz i zdradzić, uznając zdradę za rzecz dobrą w podążaniu własną drogą. Nade wszystko odsunąć się od kiczu i nie dać zmanipulować grą łez, uśmiechów, wspólnego trzymania za ręce. Sentymentalizm uczuć też jest kiczem. Gwiazdy, przestrzeń, czytanie nieba czyli patrzenie w oczy Boga, wążanie powietrza czyli wężenie nastroju dnia. Druga strona, zdradzony świat. Tam jest tak samo, te same pytania nie mają tych samych odpowiedzi. Ludzie wpadają w te same pułapki i proszą o pomoc i tak samo wszyscy wtedy milczą. Wśród całego lasu wybrana zostaje ta sama ścieżka i pod tą samą sosną umiera Rolad.

Każdy świat nawet ten zdradzony jest absurdem.

*

prestissimo wysokich obcasów
adagio adidasów spacerujących z psem
wariacje męskich mokasynów

powiedz mi czy miasto spać nie może ?

pijacka piosenka na spierzchniętych ustach
kłótnia niezakochanych choć będących razem
miauczenie kotów walczących o byt

powiedz mi czy miasto spać nie może ?

piszczące hamulce mercedesów z przyciemnianymi szybami
nieznośna syrena, bo znów ktoś umiera
dzieci płaczące w ciemnych pokojach

powiedz mi czy miasto spać nie może ?

błysk ostrza w świetle latarni
kawałek szkła z rozbitej nad ranem butelki
i nareszcie , wschodzące słońce

powiedz mi, czy miasto spać nie mogło?

,

miasto, jak co noc, mordowało sumienie

*

siedzę w sterylnym pokoju. białe tu, białe biurko, białe ściany, nowoczesny design gadżetów w kolorze zimnej stali, muzyka też jakaś stalowa, elektroniczne dźwięki i psychodeliczny głos kobiety . 2 dni temu było inaczej, w pokoju na poddaszu, siedząc na krześle barowym, sącząc poranną kawę i jedząc croissant patrząc jak Słońce powoli wschodziło ponad szczyty, tam żyje się naprawdę . . . góry są dla mnie przeżyciem intymnym . . . osobistym doświadczeniem, którym nie lubię się dzielić . . . to coś niesamowitego . . . jestem tylko laikiem nad białą kartką na ekranie komputera . . . jak to opisać ? . . . nie umiem , szukam Mistrza , szukam ukojenia , muszę odnaleźć zgubioną kobiecość , harmonia , nie ma jej milczysz , gdy stajesz na szczycie , w obliczu dumnych szczytów , w obliczu słońca nieba i tej wielkiej czystości , ogrom piękna , a ty czujesz się jego częścią , żyjesz, to wystarcza, bo tu żyje się naprawdę, bez pytań o sens, cel, jutro , radość czerpana z samego faktu bytu . . . przepływ , wiatr, szczyty, skały, niebo, słońce i człowiek stojący przed są jednością . . . czysta, purystyczna przyjemność , wykrystalizowana rozkosz , delikatna jak muśnięcia skrzydeł aniołów , jeden ruch i jedziesz na dół , szybko, dumnie, zdecydowanie , czerwonymi diabłami dotykasz nieba , to nie profanacja , egzystujesz w sferze świeckiego sacrum , dostrzegasz małość codziennych problemów , wobec życia naprawdę nabierasz dystansu do półproduktu jaki wiesz na co dzień , rzeczywistość to opium, które odurza i omamia i porywa w swoją sieć , dla jej quasi-celów poświęcisz zdrowie , toczysz walki , nie warto , nie wiesz o tym żyjąc tu , zabierz to , zapamiętaj życie naprawdę , schowaj w sercu , masz dokąd wracać , masz miejsce gdzie możesz być , nie strać tego , nie zapomnij kim jesteś , nie daj opleść się szarości tygodnia , nie daj porwać się karuzeli pragnień , nie poświęcaj się , miej dystans , masz dokąd wracać , umiesz się odnaleźć . Życie tu nie jest jedynym, na jakie zostałeś skazanym , wystarczy wyjechać , dowiedziałeś się jak łatwo można nabrać nowych zwyczajów , i pomiędzy flirtem, wódką, kawą, snem doznać absolutu , czystej radości z egzystencji , nie licz że cię zrozumieją , nie mów im o tym ,

dobrotliwym grymasem, nietrafnym słowem zniszczą to co zachowałeś , noś zawsze ze sobą , a światu pokaż co ofiarowało Ci życie naprawdę , pokaż uśmiech, energię, dystans do rzeczywistości , jesteś silny wewnątrz , i tylko zamglony blask w oku wyrazi liryczną tęsknotę , do czasu gdy znów pojedziesz w górach cieszyć się życiem

nie kochałabym was na co dzień , nie jestem zdolna do takiej miłości , umiem tam być tylko czasami , w tym tkwi sekret przepływu, by doświadczać go nieregularnie , szybko wyklęłabym was próbując dostać się do sklepu po bułki, albo gdyby zabrakło prądu przez zbyt duże opady śniegu , by żyć z wami trzeba coś zrozumieć , nabrać pokory , przyznać się do swej małości i słabości , pogodzić, że czasem czegoś nie będzie ,

w ten ostatni dzień patrzyłam z żalem , ale to był smutek spokojny , pogodziłam się , nawet nie wiem kiedy zrozumiałam, że czasem trzeba opuścić to co się kocha, by móc doświadczać szczęścia w przyszłości , ale jestem z tego dumna , to dojrzałe ,

masz świadomość, że to koniec , że kolejny etap zostawiasz za sobą , byli jacyś ludzie , jakieś zwyczaje, chcesz się zatrzymać , wskrzeszasz przeszłość opowiadając ją tysiące razy , tworząc nowe scenariusze minionych wydarzeń , po co ? , zabierz co najlepsze , i idź dalej , bo taka jest natura człowieka , by kończąc jedno odchodzić z dumnie podniesioną głową spoglądając pewnie ku nowym przygodom nowego świata

*

Taka zwyczajnie żyję zwyczajna obserwując niezaczynające się dni polskiej jesieni przechodzące w nieodróżnialny zmierzch, szarość, szarość nas zalała. Beznadziejność pustego pokoju. Jest muzyka, żalony dźwięk trąbki gułagowej orkiestry, powtarzalny rytm tamburyna. To prowokuje wizję rumuńskiego pogrzebu, nigdy nie widziałam takiej uroczystości, ale gdy słucham tej piosenki widzę orszak smutnych ludzi o ciemnych twarzach, mężczyzn z wąsami i młode wychudzone brudne kobiety z wyrazem żalu na twarzy i zanoszące się płaczem otyłe matrony. Wszyscy otuleni czernią, a z spod chustki na głowie wymykają się ciemne, grube kosmyki włosów. Idą zwirową ulicą biednej wsi, pod burym wschodnioeuropejskim niebem, pomiędzy upadającymi domami, na których progach stoją i przyglądają się kościste dzieci z wielkimi oczami. One zawsze mają duże oczy, by pomieścić mogły łapczywy głód świata, chciwość w jego chwytaniu, ale nie mieszczą już zdrowego blasku życia. I dochodzą na zabiedzony cmentarz za krzywym płotem i chowają nieboszczyka na pagórku obok przechylonego krzyża nad grobem żydowskim, który nie wiadomo czyj jest i skąd się tam w ogóle wziął. Nikt nie zwraca na to uwagi, chowają tam wszystkich i nikt nikogo nie obchodzi, gdy leży sztywny grudą ziemi przywalony na piersi. Po szorstkich słowach księdza wracają swoim wronim orszakiem, idą do domu denata na stypę, idą wspominać, idą pić, idą zapić beznadzieję życia i ciągle gra ta melodia. Inna, ale wciąż ta sama, bo słowiańskość ma to do siebie, że choćby śmiech to raczej z tego, co łzawe, a nawet, jeśli szczery to i tak nad ranem, przy obrzydliwej trzeźwości poranka, co nie wstaje, przy słońcu, co jest zawsze tylko mglistą kulą ukrytą za warstwami chmur, przy rwącym bólu głowy, suchości gardła chce się jedynie wyć. Ale teraz dopiero przyszli i dopiero zmierzch zapada, za oknem wyje pies na łańcuchu, przechadza się kot po izbie. Zwierzęta są czarne, z brudu, z natury, z rozpaczy i chude, przeraźliwie chude, jak wszystko, bo żywią się tym, co znajdują lub złapią, co również jest wychudzone. A ludzie zasiedli i piją, młode kobiety obok swych mężów, byłych, obecnych albo przyszłych, młoda kobieta nie jest nigdy sama i niczyja. Młoda kobieta nigdy nie jest wolna. I choć nie mają, co jeść, na co dzień, i choć ubierają się w te same od lat znoszone ubrania nie zwracając uwagi na rozmiar to zawsze mogą pić. I piją, piją w niezrównanych ilościach by zapomnieć, by obłapiać własną żonę, poślubioną w nieważne, której czasoprzestrzeni. I wychodzą, tańczą i tąpią nogą w podłogę izby i znów piją i tańczą, wznoszą toasty i jedzą, bo akurat mają co i noc trwa za oknem a oni ją zabijają. Uderzani, na co dzień życiem jak siekierą

muszą czasem zarębać coś sami, więc się cieszą, bo mija czas, bo nie patrzą na swoje brzydkie odbicie w kałuży. Aż posną na stołach, pod stołami, usną po drodze, upadną w pół kroku i będą jeszcze brudniejsi, i jeszcze mniej się będą szanować, i spodlą się jeszcze bardziej, ale przecież podlą się dość często, więc im już wszystko jedno, bo lazurowy błękit amerykański i tak o nich nie pamięta. Bo lazurowy błękit amerykański zapija się bourbonami i upada twarzą w najprzezroczystsza taflę wychlorowanej wody przydomowego basenu i on się nie podli - on się bawi. I tamci obudzą się z oczami skierowanymi w rozmyty brudem granat nieboskłonu, i niedługo po tej nocy, a nawet w jej efekcie narodzą się następni w kolejce do beznadziei i znów pić będą i tańczyć i bawić w rozświetlonej nędznym światłem chacie, która jest jedynym jasnym punktem w ciemności stepu, jedynym jasnym punktem przy żwirowej drodze. I nawet, gdy wszyscy już poumierają i zgaśnie światło to nadal słycać będzie dźwięk trąbki i błyszczeć będą wielkie głodne oczy czarnego kota.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

carmensita, dodano 27.12.2007 11:11

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.